

Horror pod Trupim Pagórkem. Obóz pracy w Nartach

Dziś jedynymi śladami po nim są tablica informacyjna i kamień, upamiętniający dziesiątki ofiar pochowanych w tzw. „Trupim Pagórku”. W latach 1940-41 obóz pracy w Nartach pod Kampinosem był jednym z najgorszych miejsc, dokąd mogli trafić Żydzi z warszawskiego getta. Zachowane relacje pełne są cierpienia, barbarzyńskiego sadyzmu i wszechobecnej śmierci.

Noc z 16 na 17 kwietnia 1941 roku w getcie warszawskim nie należała do spokojnych – trwała łapanka do obozów pracy. Po ulicach krążyły grupy żydowskich i polskich policjantów. Wkraczały do wybranych kamienic i – przy akompaniamencie krzyków, gróźb, a czasem i stosując przymus bezpośredni – zabierały grupki mężczyzn do gmachu „Collegium”, przy Leszno 84, gdzie mieścił się Urząd Pracy Rady Żydowskiej. W jednej z grupek nieszczęśników znalazł się 25-letni Icchak Cukierman, jeden z liderów Droru, lewicowej organizacji chalucowej, czyli takiej, która przed wojną przygotowywała młodzież do prowadzenia działalności osadniczej w Palestynie. Dobrowolnie dołączył do swoich kilkunastu towarzyszy, zabranych przemocą z kwatery głównej ruchu na Dzielnej 34. Liczył na to, że uda mu się wynegocjować z urzędnikami Judenratu ich zwolnienie. Jak się okazało, błędnie oszacował swoje wpływy.

Po przybyciu do Urzędu Pracy Cukierman rozmawiał z jego szefem, Chilem Rozenem. Tłumaczył mu, że zaszła pomyłka – członków Droru pojmano bezprawnie, ponieważ mają oni pracę. Na to urzędnik odpowiedział z okrutną ironią: „Też musicie wychodzić na roboty. A takie jest właśnie zadania pioniera (chaluca-red.) – być pierwszym”. Od tego momentu ich los był przypieczętowany. Razem z około dwustoma innymi zrezygnowanymi mężczyznami – głównie biednymi Żydami z prowincji, których wojna rzuciła do Warszawy – czekali w niepewności, do którego z okrytych złą sławą obozów skieruje ich wyrok okupanta.

Nad ranem władzę na tłumem zebranych z rąk policji żydowskiej przejęli uzbrojeni w karabiny i kije nieumundurowani Polacy (według innych relacji volksdeutsche; w każdym razie porozumiewali się niemal wyłącznie po polsku) – jak się potem okazało, byli to strażnicy obozowymi z Nart. Od razu zaczęli pojmanych bić i wyzywać. Następnie w szeregu wyprowadzili ich poza getto – przez Stare Miasto na most Kierbedzia i dalej, przez Pragę na Dworzec Wschodni. Ostatni odcinek drogi Żydzi pokonali szybszym krokiem, okładani nahajkami przez grupę poganiających ich Niemców.

Na stacji udręczonym Żydom wręczono po dwie łopaty i wepchnięto ich, po stu, do dwóch bydlęcych wagonów doczepionych do składu osobowego. I tak – niemożliwie stłoczonych, upadających jeden na drugiego i ledwo łapiących oddech – przewieziono ich do stacji Szymanów na zachód od Warszawy. Stamtąd – osłabionych, zaszczutych i głodnych – strażnicy popędzili ich na północ, aż na skraj Puszczy Kampinoskiej. Tam, nieopodal miejscowości Narty, znajdował się przeznaczony dla nich obóz. Składał się z czterech obszernych drewnianych baraków – nowych, ale niedbale zbudowanych. Gdy tam przybyli, jego teren dopiero otaczano drutem kolczastym.

Kolejne dni pokazały więźniom, że przetrwanie w lagrze będzie niezwykle trudne. Wyniszczająca praca przy kopaniu kanałów, połączona z głodowymi racjami żywnościowymi, a także przemocą ze strony sadystycznych i zapijaczonych strażników zamieniały każdy dzień w piekło. Ludzie zaczęli padać jak muchy. O śmierć otarł się także lider Droru.

Kilka dni po przyjeździe więźniów do Nart, na poszukiwania Cukiermana przybyła pod obóz Łońka Koziębrodzka, łączniczka Droru, która na tzw. aryjskich papierach podróżowała pomiędzy gettami w całej Polsce. Próbowła nawiązać kontakt z uwięzionym towarzyszem za pośrednictwem Polaków, pracujących razem z Żydami przy budowie kanału. Zaprzyjaźniony kierownik robót przekazał dyskretnie Cukiermanowi, że „czeka na niego pewna kobieta”. Ostatecznie jednak nie spotkali się. Koziębrodzka wróciła do Warszawy, spłoszona podejrzliwym zachowaniem strażników. Natomiast wieczorem, tego samego dnia, jej kolega z Droru został wzięty na nocne przesłuchanie.

Komendant obozu i dwóch jego ludzi próbowało wyciągnąć od Cukiermana informacje na temat

Koziebrodzkiej. Pytali go kim ona jest, a przede wszystkim, czy jest Żydówką. Ten, ponieważ nie wiedział nic o jej losie, podejrzewał, że może być przetrzymywana przez oprawców. Dlatego też szedł w zaparte: utrzymywał, że to koleżanka z klasy, chrześcijanka, która zatroskana o jego los przyjechała go szukać. I wtedy zaczęto go torturować. Tak opisywał te koszmarnie chwile w swoich wspomnieniach:

„Dwaj stali i bili mnie. Najpierw po głowie – gumowymi pałkami. Gdy poczułem, że krwawię, próbowałem osłonić głowę rękoma i wtedy oberwałem po rękach i uszach. Zdjąłem ręce z głowy i zobaczyłem, że są całe we krwi. A oni kontynuowali bez litości i przerwy. Na tym etapie już nie płakałem i nie jęczałem, przyjmowałem ciosy w milczeniu. I więcej: im więcej, im dłużej mnie bili, tym mniej czułem ból. Ale czułem, że puchnę i krwawię. [...] Byłem zraniony i obolały, ale nie straciłem kontroli nad sobą”.

Gdy jego kaci zmęczeni się biciem, komendant rozkazał, by go rozstrzelać. Ostatecznie jednak do egzekucji nie doszło. Strażnicy przekonali szefa, że „szkoda chłopaka”. I tak maltretowany i półprzytomny Cukierman został wrzucony do dołu z wodą przykrytego drewnianą klapą.

Nazajutrz komendant obozu znów go straszył. Przygotowano szubienicę, wyciągnięto go na apel, a potem niespodziewanie znów wrzucono go do dołu. Tym sposobem zamierzano go „złamać” i zmusić do mówienia.

Koniec końców, po kolejnej upiornej gorączkowej nocy w dole z wodą, od śmierci wybawiła Cukiermana pomoc z najmniej spodziewanej strony. W obozie zjawiła się bowiem grupa oficerów gestapo. Jakoś dowiedzieli się o jego losie i z niewiadomych przyczyn kazali go wyciągnąć. Był uratowany. Ich postępowanie zaskakuje tym bardziej, że w chwilę po tym jak odmienili jego los, poprosili, by zgłosili się do nich więźniowie, którzy czuli się chorzy. Wszyscy Żydzi, którzy to uczynili, zostali ciężko pobici.

Takie i gorsze bestialstwa miały miejsce w Nartach każdego dnia. Cukierman miał szczęście, ale dziesiątki jego towarzyszy niedoli skończyły w zbiorowej mogile zwanej dziś „Kadisznikiem” lub „Trupim Pagórkem”. Oto jak funkcjonowało to przerażające, acz zapomniane, miejsce kaźni.

Utworzenie obozu w Nartach

Obozy pracy dla Żydów zaczęły powstawać na terenie Generalnego Gubernatorstwa latem 1940 roku. Ogółem do 1944 roku na terenie okupowanych ziem polskich w różnych okresach działało ich ponad 490. Większość funkcjonowała krótko, czyli do czasu, gdy zostało wykonane postawione przez okupanta zadanie.

Niemcy, którzy mieli dalekosiężne plany wykorzystania podbitych ziem, rozpoczęli w 1940 roku na terenie Generalnego Gubernatorstwa szeroko zakrojony program robót melioracyjnych i regulacyjnych, które miały uporządkować stosunki wodne w dystryktach. W tym celu utworzyli 175 obozów gospodarki wodnej. Aż 118 z nich stanowiły obozy pracy przymusowej dla Żydów. W toku okupacji przewinęło się przez nie ponad 60 tys. robotników.

Lager w Nartach powstał po to, by zapewnić siłę roboczą do budowy tzw. kanału Olszowieckiego za którego pomocą zamierzano częściowo osuszyć bagienne tereny na południu Puszczy Kampinoskiej. Inwestycja w dużej mierze została ukończona w 1939 roku, jeszcze przed wybuchem wojny. Powstało wówczas 15 z planowanych 25 km kanału. W lipcu 1940 roku przetarg na jego dokończenie wygrała warszawska firma inż. Stefana Fercha. Jednak pomimo tego, że rozpoczęła prace budowlane zaraz po ogłoszeniu wyniku konkursu, ich rezultaty początkowo były mizerne – niespełna dwustu robotników polskich i żydowskich zbudowało mniej niż 3 km wykopu. Dlatego też pod koniec 1940 roku Niemcy zdecydowali o skierowaniu do projektu siły roboczej z getta warszawskiego. By ją zakwaterować, na północ od wsi Kampinos zbudowano dwa obozy, składające się z paru prymitywnych drewnianych baraków. Pierwszy, ukończony w połowie grudnia 1940 roku, powstał w Łazach Leśnych (obóz Piekło), a drugi, w pobliskich Nartach, oddano do użytku w marcu 1941 roku.

Za dostarczanie wymaganej przez władze okupacyjne kwoty robotników odpowiadała warszawska Rada Żydowska. W 1940 roku, kiedy tworzone pierwsze obozy pracy w Generalnym Gubernatorstwie, skierowanym do placówek Żydom wysyłano imienne wezwania. Czasem do wyjazdu do nich zgłaszali się ochotnicy, głównie biedni i bezrobotni, którzy liczyli, że w lagrach poprawią swój los – zapewnią sobie chociaż regularne posiłki i dach nad głową. Jednak

napływające coraz szerszym strumieniem przerażające relacje o warunkach w obozach – głodowych racjach, przemocy i śmiertelności – sprawiły, że wzywani przestawali się zgłaszać, a chętnych próżno było szukać. Dlatego już wiosną 1941 roku, czyli gdy trzeba było skompletować ekipę do prac pod Kampinosem, pod presją Niemców warszawski Judenrat zaczął organizować na ulicach łapanki. Prowadziła je wspólnie policja granatowa i Żydowska Policja Porządkowa. Funkcjonariusze nie dobierali przypadkowo swoich ofiar. Do gmachu na ul. Leszno 84, gdzie zbierano zatrzymanych przed wysyłką do obozów, sprowadzali głównie, co poświadczają liczne relacje, mężczyzn z punktów dla przesiedleńców z innych gett, czyli tych najuboższych, fizycznie słabych, a często przewlekłe chorych czy wręcz kalekich. Zamożniejsi Żydzi, którzy wpadli w łapankach – jak opisuje w swojej relacji zapisanej w Archiwum Ringelbluma rabin Chitowski – mogli się wykupić za kilkusetzłotową łapówkę, którą dzielili między siebie żydowscy policjanci i pracownicy Urzędu Pracy przy Judenracie.

W takich oto okolicznościach zebrano 400 przymusowych żydowskich robotników. W dwóch rzutach – 17 i 18 kwietnia 1941 roku – przewieziono ich z Warszawy do obozu w Nartach. Rabin Chitowski, który jechał w pierwszym transporcie razem z Cukiermanem, relacjonował, że 90 proc. jego towarzyszy niedoli stanowili właśnie ubodzy lub cierpiący na różne przypadłości uchodźcy spoza Warszawy. Pod Kampinosem poddano ich fizyczną i duchową wytrzymałość nieludzkiej próbie.

Głód, znój i sadyzm

W Nartach robotników zakwaterowano w czterech prymitywnych drewnianych barakach. Ich cienkie i pełne szczelin ściany minimalnie zabezpieczały przed chłodem, zwłaszcza w nocy. Niskie temperatury były dla Żydów dokuczliwe tym bardziej, że większość z nich musiała spać w przemoczonych ubraniach, a niektórzy pracowali przy budowie kanału nawet po pas w wodzie. Tymczasem nie dano im nawet nic do przykrycia.

Robotnicy spali na ciasno stłoczonych trzypiętrowych pryczach, wyściełanych cienką warstwą słomy. Najgorzej mieli ci, jak opisywał Chitowski, którzy leżeli najniżej. Na nich bowiem spadały „wszy, pchły, gnój i brud” z górnych kondygnacji. Co gorsza, umęczeni całodzienną pracą ludzie

nie mieli w zwyczaju schodzić w nocy z prycz, by załatwić swoje potrzeby fizjologiczne – po prostu oddawali mocz na śpiących niżej współwięźniów. W efekcie w barakach niemożliwie cuchnęło.

Do fatalnych warunków higieniczno-sanitarnych dochodziło głodowe wyżywienie. Na śniadanie dawano żydowskim robotnikom kawę zbożową i 200 gramów chleba. Po południu serwowano im najczęściej jedną porcję wodnistej zupy z niewielką ilością ziemniaków. W wyjątkowych sytuacjach ich racje zwiększano. Na przykład, gdy dziką awanturę w tej sprawie urządził władzom obozu pewien urzędnik-volksdeutsch z Sochaczewa, zaniepokojony spektakularnym wzrostem śmiertelności w placówce. Jednak zdarzały się i takie dni, gdy więźniowie nie otrzymywali żadnego posiłku. Wynikało to z faktu, że przedsiębiorstwa prowadzące prace budowlane, w tym wypadku firma Fercha, permanentnie nie wywiązywały się z obowiązku żywienia żydowskich „pracowników”. Oszczędzały w ten sposób pieniądze, tłumacząc fatalne zaopatrzenie lagrów „ogólnymi trudnościami z aprowizacją w Generalnej Guberni”. Zakładały bowiem cynicznie, że i tak Niemcy ich z tego powodu nie rozliczą. Nie myliły się – obozy pracy były tylko etapem w drodze do „ostatecznego rozwiązania”.

Te wyniszczające warunki potęgowali jeszcze strażnicy obozowi. Jedne relacje przedstawiają ich jako Polaków (mówili głównie po polsku), niektóre jako volksdeutschów. Pewne jest, że charakteryzowali się niezwykłym sadyzmem. Już o godzinie czwartej rano, gdy następowała pobudka, wpadali do baraków, bijąc pałkami Żydów zajmujących najniższe prycze. Potem w czasie pracy, także nie dawali im spokoju. Gdy ktoś „za wolno” pracował – co było notoryczne przy głodowych racjach i ciężkich robotach jak kopanie rowów czy wożenie taczek z ziemią – był katowany. Gdy oddalił się do chłopskiej chaty, by kupić żywność – także czekało go bicie. Za drobną kradzież, jak opisywał Chitowski, jednego z Żydów najpierw trzech strażników okładało kijami przez 5 minut, a następnie zamknięto go w areszcie na trzy dni i głodzono, pojąc jedynie kawę zbożową.

Szerokim echem odbił się w obozie mord na dwóch braciach Adler, pochodzących z zamożnej warszawskiej rodziny. Gdy przybyli do Nart, ich elegancki ubiór zwracał uwagę zarówno współwięźniów, jak i obozowych strażników. Pewnego ranka znaleziono ich nagie

zmaltrretowane ciała pod ogrodzeniem lagru. Oficjalnie zostali oni zastrzeleni w czasie próby ucieczki. Jednak dla robotników jasne było, że zamordowano ich z zimną krwią, by zabrać im pieniądze i kosztowne ubrania.

Choroby, przemoc i wycieńczenie powodowały, że żydowscy robotnicy zaczęli szybko wymierać. Już w kilka dni po przywiezieniu pierwszego transportu około 150 metrów od baraków zaczęła powstawać zbiorowa mogiła dla zabitych zwana przez Żydów „Kadisznikiem” (od nazwy modlitwy za zmarłych), a przez Polaków „Trupim Pagórkiem”. Spoczęły w nim dziesiątki zamęczonych lub zamordowanych Żydów. Mogło być ich i więcej, gdyby nie aktywność ks. Stanisława Cieślińskiego, proboszcza z Kampinosu. Zachęcał on swoich parafian do dożywiania „udręczonych braci”. Jak podają zgodnie relacje, jego apel odniósł skutek. Chłopi faktycznie zaczęli na szerszą skalę dożywiać nieszczęśników z Nart.

Rozwiązanie lagru

Obóz w Nartach został zlikwidowany pod koniec maja 1941 roku, równo po sześciu tygodniach istnienia. Zorientowano się, że pracując w takich warunkach robotnicy przymusowi są skrajnie niewydajni. Kanał Olszowiecki dokończyli później Polacy.

Rabin Chitowski podsumował, że praca w obozie „nie przyniosła żadnego pożytku, 53 ludzi pochowano na górze, 50 następnych zmarło w Warszawie, a pozostali na zawsze będą kalekami fizycznymi i psychicznymi”. Icchak Cukierman nazwał obóz pod Kampinosem „wielkim cmentarzem”, miejscem, gdzie przekonał się, że „obóz pracy i obóz koncentracyjny to to samo”. Po powrocie do getta miesiącami dochodził do siebie pod troskliwą opieką towarzyszy z Droru.

Przez lata po wojnie ten mroczny epizod w dziejach Zagłady pozostawał zapomniany. Dopiero we wrześniu 2012 roku ustawiono na „Kadiszniku” skromny pomnik poświęcony pamięci zamordowanych.

Bibliografia:

- B. Engelking, J. Leociak – „Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście”
- „Archiwum Ringelbluma. Obozy pracy przymusowej”, Tom 24
- I. Cukierman – „Nadmiar pamięci. Siedem owych lat. Wspomnienia 1939-1946”
- J. Iwaszkiewicz – „Kaznodzieja z Kampinosu i tragedie w Nartach” w: Puszcza Kampinoska, 1993, nr 1-2

Autor: Wojciech Rodak

Data publikacji: 2022-06-06

Data wydruku: 2023-05-23 17:48

Źródło: <https://1943.pl/artukul/horror-pod-trupim-pagorkiem-oboz-pracy-w-nartach/>